



ILUSTROWANY



PRZEGLĄD TYGODNIOWY



Wychodzi w każdą niedzielę
w
Krakowie • Wiedniu • Mor. Ostrawie



Rocznik I.

2. maja 1915

Nr. 21.

Redakcja, administracja i ekspedycja
Morawska Ostrawa, ul. Johannowego 5.
Tel. Nr. 163.
Rękopisów się nie zwraca.

Cena numeru 20 halerzy.

Prenumerata kwartalna . . . K 2'50
Prenumerata półroczna . . . K 5—

Ceny ogłoszeń: Cała strona 100 kor.,
1/2 strony — 50 kor., 1/4 strony — 25 kor.,
1/8 strony — 12'50 h. i t. d. Przy kilkakrotnem zamieszczeniu wysokie rabaty.

Z tygodnia.

Ubiegający tydzień wojny zaznaczył się przede wszystkim zastojem prawie zupełnym w operacjach na wschodzie. Wielka bitwa w Karpatach została nagle przez Rosyan przerwana bez żadnej decyzji.

Przyczyną obecnego zastoju na wschodnim teatrze boju zdają się być niekorzystne warunki temperatury, roztopy, które nie tylko w północnej, zachodniej i południowej części Królestwa Polskiego, ale i w Karpatach popyły do reszty wszelkie drogi. Pewną rolę odgrywa też niewątpliwie zmęczenie i wyczerpanie stron obydwóch po straszliwym zmaganiu się w ostatnich kilku miesiącach a zwłaszcza w ubiegłych tygodniach, w których bez przerwy prawie walczone w Karpatach.

Z tych samych mniej więcej powodów panuje, jak

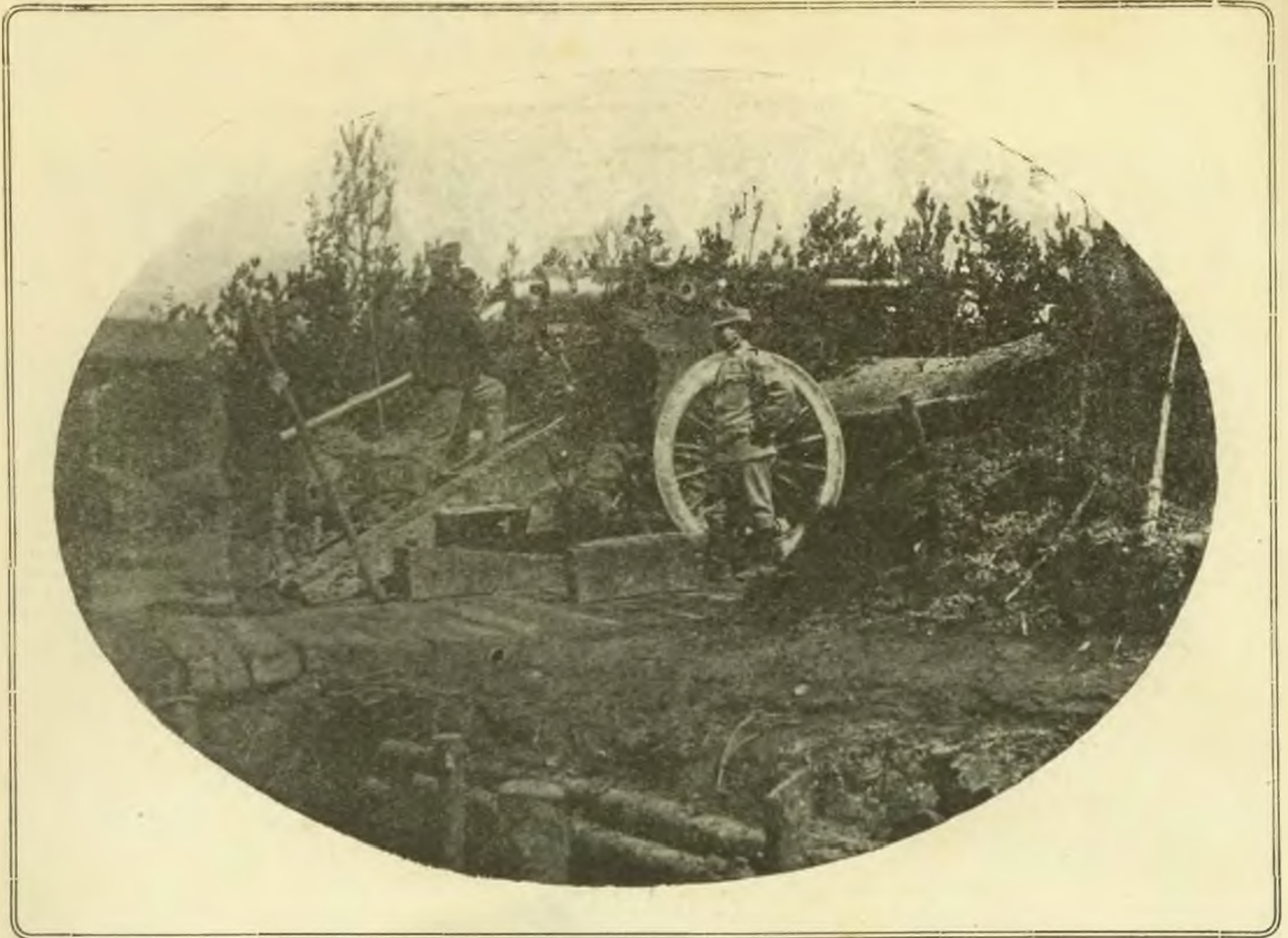
wiemy, zastoje w operacjach już od kilku tygodni na całym froncie Królestwa Polskiego i Galicji zachodniej.

Tak tedy na tym froncie w najbliższych tygodniach żadnych większych akcji spodziewać się nie należy.

Inaczej przedstawia się sprawa na froncie zachodnim, we Francji. Tutaj walki na poszczególnych odcinkach frontu nie ustają ani na chwilę. Toczą się one w lesie Argońskim, pomiędzy Mozą i Mozlą i w Wogezach o poszczególne utwierdzone pozycje połowe i rowy strzeleckie. Walki te trwają bez przerwy nieledwie od kilku już miesięcy, a dotychczasowy ich wynik jest prawie żaden. Żadna z dwóch stron walczących z sobą w ciągu ubiegłych kilku miesięcy nie zdołała zdobyć na przeciwniku znacniejszych obszarów terenu, złamac



(Kilphot—Wiedeń). Oddział kawaleryi Legionów polskich.



Ciężka haubica w czasie ładowania.

na większej przestrzeni jego frontu bojowego. Na razie nic też nie zdaje się zapowiadać bliskiej decyzji na tym placu boju. Niebывała ta uporczywość walk stanowi jedną z dość licznych niespodzianek obecnej wojny.

Najważniejszym sukcesem dla Niemców jest silne usadowienie się wojsk niemieckich na lewym brzegu kanału. Znacząco to, że w angielsko-francuskiej linii obronnej nad kanałem Ypern (Ypres) powstał wyłom, który może stać się dla dalszych operacji Anglików i Francuzów we Flandryi niebezpiecznym. Nie ulega też wątpliwości, że porażka ta wywoła w Anglii nową falę niezadowolenia z obecnego kierownictwa akcją wojenną na ziemi francuskiej i belgijskiej. Niezadowolenie to istniało już od dość dawna i zwracało się głównie przeciwko głównodowodzącemu generałowi Frenchowi. Obecnie przeniesie się także na rząd angielski, któremu już dotychczas zarzucano, że prowadzi wojnę w sposób zbyt „wyczekujący“.

O wielkiej ofensywie, zapowiedzianej ze strony francusko-angielskiej dotąd nic nie słychać, choć ani Anglia ani Francja nie myślą jeszcze wcale o pokoju.

O ile sądzić można z ostatnich, nieurzędowych zresztą wiadomości, mocarstwa trójporozumienia rozpoczynają nową akcję przeciwko cieśninie Dardanelskiej. I tak francuski korpus ekspedycyjny, który rozłożył się w Egipcie obozem, wszedł obecnie w Ale-

ksandryi na okręty i odpłynął ku Dardanelom. Przypuszczają, że korpus ten wyląduje na wybrzeżu Azji Mniejszej, w pobliżu Smyrny.

Wreszcie i Bałkan w ostatnim tygodniu nie próżnował. Zanotować należy akcję byłego prezesa ministrów greckich Venizelosa, zmierzającą do zorganizowania greckiego korpusu ochotniczego, któryby, połączony z wojskami francusko-angielskimi przeciwko Turcyi, spełniał to zadanie, do którego Venizelos króla greckiego namówić nie zdołał. Dalej przyszedł do skutku traktat serbsko-grecki gwarantujący sobie wzajemnie ochronę granicy przed napadami komitadżów bułgarskich, co widocznie spowodowało Bułgarię i ze swej strony do wystąpienia energiczniej przeciw tym bandom zamęczającym zgodę sąsiedzką z Serbią. Wreszcie ciekawe jest dalsze zaciąganie rezerw rumuńskich pod broń i inne przygotowania wybitnie wojenne w Rumunii.

Wszystko to świadczy, że spokój w tym kotle nie jest pewny i że każdej chwili stamtąd obawiać się można jakiej nowej niespodzianki.

Mimo obecnego zastoju w większych operacjach nie trudno jednak dostrzedz w prasie obu stron wojujących pewnego podniecenia, a nawet nastroju gorączkowego. Objawia się on w oczekiwaniu nowych ważnych, a może i rozstrzygających wypadków już w najbliższym czasie.



Radca sanitarny Dr Adam Zagórski w otoczeniu person^olu pomocniczego i pacjentów w szpitalu czerwonego krzyża w Brzeczaw u na Morawach.

Więści z wygnania.

W Lundenburgu (Brzeclaw) i wsiach okolicznych przebywa około pięciuset wychodźców z Galicyi. Mięszana ludność miejscowa złożona z Czechów i Niemców okazuje wiele życzliwości dla naszych mieszkańców; a burmistrz Lundenburga, znany i u nas przemysłowiec p. Edward Kafka, jest bardzo czynny i stara się na każdym kroku osładzać ich smutny los. Lecz nie tylko materialnie im pomaga. Za jego to przyczyną zorganizowano polską szkołę normalną i wydziałową w lokalnościach ogrzewanych i zaopatrzonych w przybory szkolne, a ofiarowanych bezpłatnie przez zarząd miasta. Szkołę tę zwiedzał wiceprezydent rady szkolnej krajowej Dr Dembowski i był zadowolony z postępów w naukach młodzieży. Oprócz polskiej szkoły uczęszcza do szkół miejscowych miejskich, do gimnazjum realnego i szkoły przemysłowej żeńskiej dość znaczna ilość młodzieży. W szpitalu czerwonego krzyża jest kierownikiem Dr Adam Zagórski, radca sanitarny z Rzeszowa. Godną uznania jest ofiarność i poświęcenie pań miejscowych, należących do stowarzyszenia czerwonego krzyża, które nie żalują trudów i pieniędzy dla niesienia pomocy rannym i chorym żołnierzom, a z pośród nich świeci przykładem pani dyrektorowa Hauserowa, która jest prawdziwą dobrodziejką i opiekunką pacjentów tutejszego szpi-

tala. Dzielnym i niezmordowanym administratorem szpitala jest przelozony czerwonego krzyża p. Sluka. Podczas wielkiego postu za staraniem tutejszej kolonii polskiej przybył do Lundenburga ks. misyonarz Piotr Brukwicki, pod którego przewodnictwem odbyliśmy rekolekcyje. Na zakończenie, dla udzielenia wspólnej Komunii św. zjechał najprzewielebniejszy ks. biskup Bandurski. Przyjmowany uroczystie przez miejscowe duchowieństwo, odprawił w tegoż asystencyi mszę św. i przemówił nasz Złotousty tak rzewnymi słowami, że do łez poruszył i pokrzepił słuchaczy.

Sen.

(Pracę tę poświęcam mojemu kapitanowi Wł. Zaleskiemu).

— Zdzych! Spisz?

— Nie, tylko mi tak jakoś.. wiesz...

— Wiem! O domu myślisz! O Warszawie twojej!

A zresztą, co tam dom... Ja także dom zostawiłem i jakoś nic.

— No dobrze... tylko wiesz, tak mi jakoś dziś dziwnie... Mama i Józia śniły mi się dzisiaj. Mama była taka młoda a Józia śmiała się tak dziwnie ze mnie...

— Ech, co ty tam zawsze ze snami.

— Kiedy to jest prawda. A wiesz, Stacha taka bardzo blada była.

— Stacha! Już dalej nie zniosę. Zawsze mi z ba-

bami wyjeżdżasz! Teraz wojna i ko-
zacy blisko, a nuż usłyszą i gotowi
nas w tym zakazanym lesie obejść.
Bądźże więc cicho.

— Dobrze! Kozacy niedaleko,
ostrzegam!

— Heł heł Jakiś ty głupi. Naboi
mam na całą sotnię, a „gwerek“ mój
wcale dobrze bije. Nie bój się. Ale
mniejsza z tem. Powiedz mi wiele
masz an'olków na sumieniu?

— Daj mi spokój Władek, prze-
stań.

— Ej Zdzich! Coś to ty dziś ta-
ki burkliwy i dziwny? Co ci jest?
Może ci jest zimno?

— Ano! Trochę. Tylko mi ja-
koś dziś niewymownie dziwnie i bło-
go.. A spać chciałbym...

— Wiesz Zdzich, prześpij się
trochę, do rana daleko, a potem ty
mnie zastąpisz i jakoś to będzie.

— Ale mróz siarczysty. Nóg już
nie czuję.

— No, to kładź się, a ja postoję,
pochodzę.

I Zdzich ułożył się powoli na „łóżku“ zrobionym
z gałęzi sosen, otulił się kocem, płaszczem i spał...
Tyle dziś marszu zrobili — a on taki słaby.

Księżyc pięknie wyplynał na niebo i jasno oświe-
cił skraj lasu, a Władek patrzył w dal, oparty na lu-
fie karabinu. Patrzył czy nie ujrzy czarnych kilku pun-
któw, posuwających się szybko ku niemu... Wtedy
zbudzi Zdzicha, staną za drzewem i... salwa.

— Ha, ha! — śmiał się w duchu. Jak to paradnie
będzie. Oni dwaj — salwę. A kozacy jak kozły z koni
spadną, reszta zaś — dęba.

I myślał tak długo, to o jutrze, to o domie
i o rodzinie; aż przed oczyma poczęły mu krążyć
ciemne płyty i kręgi, powieki ciążyły a nogi posłu-
szystwa odmawiały. Usiadł na gałęziach, plecami
zwrócony do Zdzicha, i myślał.. Głowa opadała coraz



Niemiecki posterunek obserwacyjny,
ukryty pod gałęziami przy drodze.

nżej na p'ersi, a niezdolne powieki zamykały się same.
Chciał wstać, zbudzić Zdzicha i powiedzieć mu, że-
by go zastąpił, ponieważ nie może już dłużej wy-
trzymać. Ale żał mu się zrobiło biednego Zdzicha.
On przecież taki słaby w porównaniu do niego, a więc
nie zbudzi go, ale wytrzyma sam. A może on śni o ma-
mie, o Józii i kochanej Warszawie... Ech, niechtam,
postoję jeszcze a on mnie kiedyindziej zastąpi — po-
myślał sobie... A powieki spadały mu na oczy...

Zdzich śnił, tak cudnie śnił...

„Bitwa gorąca wrzała na całej linii fortów ze-
wnętrznych Warszawy — jego miasta. Huk tysiąca
dział wstrząsał murami tego grodu, a on rzucał się
na całe masy Rosyan, zaciekle broniących miasta.
I nigdy mu tak dobrze i sprawnie nie szło jak dziś.
Kule ocierały się o niego, muskały młodą twarz, a nie
imały się jego, a on siekł — po-
tężniał... Granaty pękały, sycząc
jak żmije. Pociski armatnie lecąc
w nieznaną dal, zawodziły jak
gdyby płaczące dzieci... Straciwszy
karabin — na pięści się bił a za-
wsze zwyciężał. Wzart się klinem,
niszczącym jak lawina, jeno trupy
za sobą zostawiając...

Przecież za chwil kilka wej-
dzie do wolnej Warszawy — zo-
baczy mamę i siostrę. Radość mu
piersi rozsadzała a zapal potężniał...
On z pewnością pierwszy dzień
przed frontem krzyż dostanie... Ka-
pitan widział go dziś już drugi raz,
jaki on jest w ogniu sprawny.
O krzyżu dawno marzył. A dziś!
Hej! Dziś jest właśnie ten dzień
krwi i chwały. I nie „oby“ ale jest
dniem wskrzeszenia! On dziś pierw-
szy wejdzie do wolnej Warszawy!
Olbrzymi Moskał już miał Zdzi-
chowi zadać cios śmiertelny, gdy
wtępadł, tuż prawie pod nogi



Szwajcarski oddział sanitarny w czasie marszu w góry.



Marsz niemieckiego trenu
przez jedno ze zniszczonych miasteczek wschodnich Prus.

Zdzicha... To Władek, będący ciągle przy jego boku, posłał mu kulę — śliwkę suszoną. Zdzich porwał jego karabin i pomścił się... Strach paniczny zapanował między Moskalami. Ręce do góry błagalnie wznosili, prosząc go o „pardon”. A on siekł aż mu tchu chwila brakowało w piersi.

Naprzód Legioniści! My dziś pierwsi w woln... I połknął resztę słów z kulą zdradziecką — Władek. A wiara runęła bagnietami, kończąc słowa Władka. O, pilsudzczy nie darują!

I szedł ostatni batalion rezerw Legionu na bagnety. Runął jak lawina na zwarte masy Rosyan, niszcząc strasznie. Ostatni pierścień fortów Warszawy chwiał się już i rwał. I zdało się, że świat się kończy.

Nagle huk straszny wstrząsnął powietrzem — to cytadela wyleciała w powietrze, wysadzona przez Moskali... ostatni wał do wolnej Warszawy. Jak grom z jasnego nieba, tak runęły zwarte, ziejące śmiercią bataliony Legionu! Ostatnie szanice... Prą, chwiejają się... jeszcze trochę... a już z hukiem tysiąca potężnych dział wpadli legionieści do wolnej Warszawy! Zaś muzyka pułkowa grała: Jeszcze Polska...

Niech żyje nasz ojciec-wódz Piłsudski! Cześć mu!

Niech żyje Wolna i Niepodległa Polska!!

...A Zdzich biegł, wyrwawszy się z szeregów, na Sienką... do mamy kochanej — do domu. Dopadł do bramy, pchnął drzwi ciężkie i pędem wbiegł na schody. Ale zdziwiła go cisza niepomierna tego domu, zazwyczaj tak ruchliwego i wesołego. Zdziwiło go, że mama z Józią nie czeka na niego ani w bramie ani też w oknie. On tak tego chciał, o takim

powrocie marzył. Zdjął go dziwny lęk... wbiegł szybko na piętro, lecz bał się znowu przestąpić progu matki. Jak strzała błysnęło mu przez głowę, że może tam ich niema. Pchnął drzwi, lecz były one zamknięte. Wołał ażeby mu otworzono, ale usłyszał tylko szelest pościeli i jęk słaby. Pchnął więc drzwi z jakąś nadludzką siłą aż z trzaskiem otworzyły się a on wpadł do domu. Na widok jaki ujrzał, krew mu żyłach zmroziło — ujrzał matkę z twarzą boleśnie wykrzywioną, z rękoma opadłymi na łóżko. Padł na nią myśląc, że może jeszcze żyje, ale zimne i sztywne ciało matki odstraszyło go. Oprzytomniał na chwilę, by tylko zrozumieć wszystko, a potem stracił przytomność i padł omdlały na ziemię — matkę kurczowo za rękę trzymając.

A za chwilę wbiegła Józia, zadziwił ją widok wyłamanych drzwi. Po chwili jednak zrozumiała wszystko. Matka schorzała od

pół roku, nerwową stała się i lękliwą od czasu, gdy Zdzich poszedł na wojnę.

A teraz Józia wśród piekielnego huku dział pobiegła po doktora, lecz drzwi dla ostrożności zamknięte.

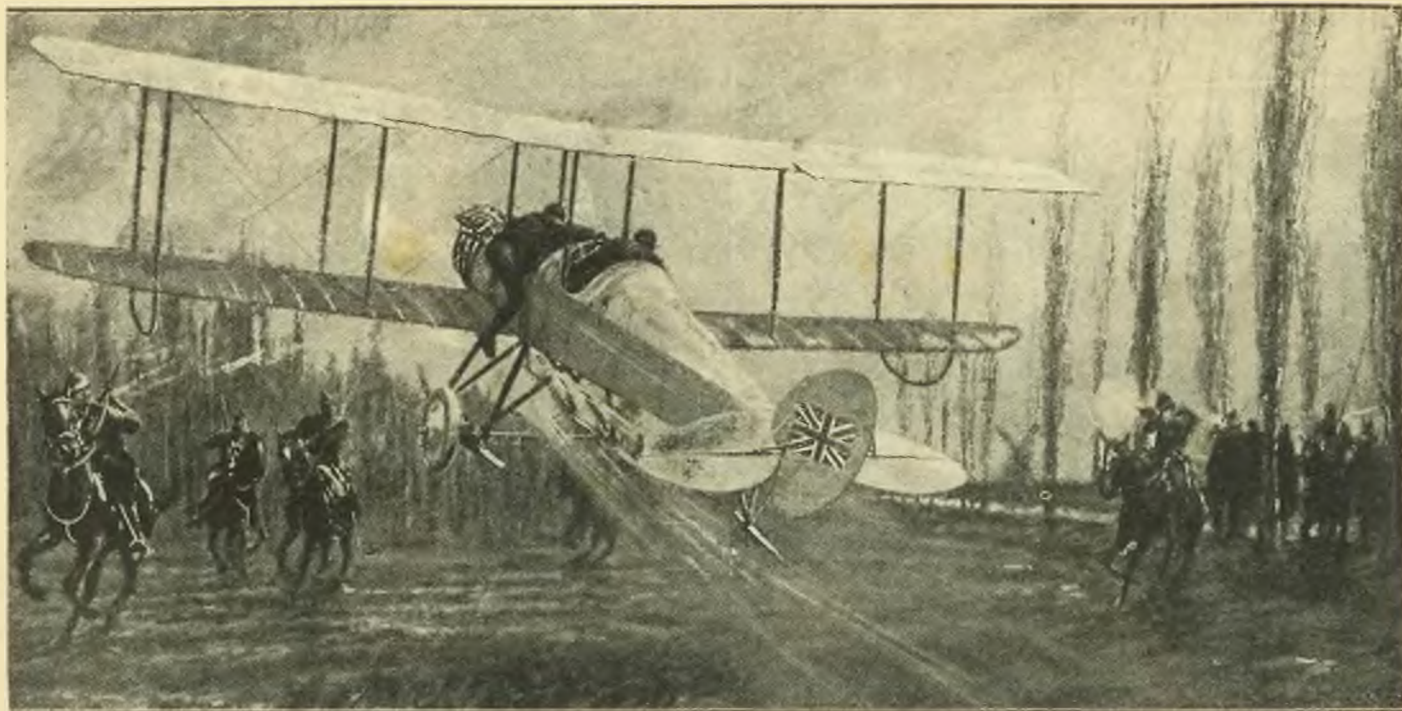
Mama myślała, że to może ustępujący Rosyanie lub Niemcy, a mama tak się ich bała... Umarła z przestachu... I w głowie jej wirowało, mózg jej rozsadało jak burza rozsadała...“

Na niebo pogodnie wypłynęło słońce cudownie i witało nieśmiało ziemię... I zdało się, że cieplej jest. Przyjaźnie spoglądało na ziemię krwią milionów zbrozoną i dziwiło się...

Aż zbliżyło się do skraju lasu i ciekawie zaglądnęło w oczy Władkowi.



Oddział wojska angielskiego.
Po lewej stronie kapelan wojskowy.



Niemieccy kawalerzyści usiłują udaremnić wzlot lotnika angielskiego.

Władek zerwał się szybko, spostrzegłszy się, że zaspał, a tu już tak późno.

— Zdzich! Wstawaj! Zdziszek! Patrzno... słońce! Zaspaliśmy!

I poczał go szarpać. Ale przeraził się jego ciała zimnego.

— Wstawaj! Zdzich!

...Lecz Zdzich nie wstał i nie wstanie już nigdy...
A mróz skrzypiał coraz bliżej i bliżej pod nogami nadchodzącej zmiany...

Śpij kolego w twardym łóżu,
Zobaczmy się jutro może...

...śpiewali poświstując.

Stanisław Maślanka, Leg. polski.

Sprawa polska w Rosyi.

Pewne światło na stanowisko rosyjskich sfer rządowych w stosunku do sprawy polskiej rzuca następujący artykuł wychodzącego w Warszawie „Dnia”. Czytamy tam:

Istnieje cały szereg kwestyi, których rozwiązanie nie jest bezwzględnie zależne od przyszłego ustroju ziem polskich i mogłoby, a i powinny być załatwione teraz już, zarówno w myśl odezwy jak w myśl pamiętnych słów generał-gubernatora ks. Engeltyczewa, który obiecał stosowanie praw w duchu nowym.

Oprócz sprawy szkolnej, którą już poruszyliśmy, a w której wiele potrzeb już dziś zaspokojonych być może — istnieją jeszcze inne, na które dziś uwagę zwrócić byśmy chcieli.

W sprawie szkolnej tem łatwiejsze ma zadanie administracya kraju, że wyszłe świeżo sprawozdanie z narady kuratorów okręgów szkolnych wyraziło potrzebę popierania szkolnictwa prywatnego, subsydowania go i okazywania wszelkiego poparcia.

Na tem tle łatwiejsze dziś winny być wszelkie ulgi i dla szkolnictwa polskiego, zarówno elementarnego, jak średniego i wyższego.

Poza sprawami więc szkolnemi, chcielibyśmy zwrócić uwagę na sprawy kościelne, wśród których nie nastąpiła dotychczas od początku wojny i od dnia ode-



Ruiny starego zamku

na pograniczu rumuńsko-węgierskiem. Na pierwszym planie widzimy straż pograniczną węgierską i rumuńską.



Bitwa uliczna pomiędzy Anglikami a Niemcami w jednej z flamandzkich wiosek.

zwy Wielkiego Księcia żadna zmiana ku lepszemu w duchu swobody „w wierze”. Ograniczenia dla duchowieństwa, dla stosunku Kościoła katolickiego w Polsce z jego najwyższymi władzami nie zostały zniesione i krępują w dalszym ciągu sprawy sumień.

Jest jeszcze jedna dziedzina życia, w której radby naród polski widzieć rzeczywistą pomoc rządu, który przecież w dziedzinie materyjalnej pomocy wykazał jednak względem nas dobrej woli sporo.

Ruina kraju odbija się bezpośrednio na zyskach fiskalnych z niego, interesem więc państwa jest poprzez jak najenergiczniej wszystkie kroki, zmierzające ku zmniejszeniu nędzy.

W tym kierunku jednak, oprócz filantropii państwowej i społecznej rosyjskiej, potrzeba koniecznie radykalnie szczych środków, jakimi byłoby bezwzględnie możliwie szeroko stosowane udzielanie pracy tym, którzy są jej pozbawieni.

Są całe dykasterye instytucji rządowych, w których praca dziś z powodu wojny jest tak wzmożona, że wymaga olbrzymiego powiększenia personalu urzędniczego.

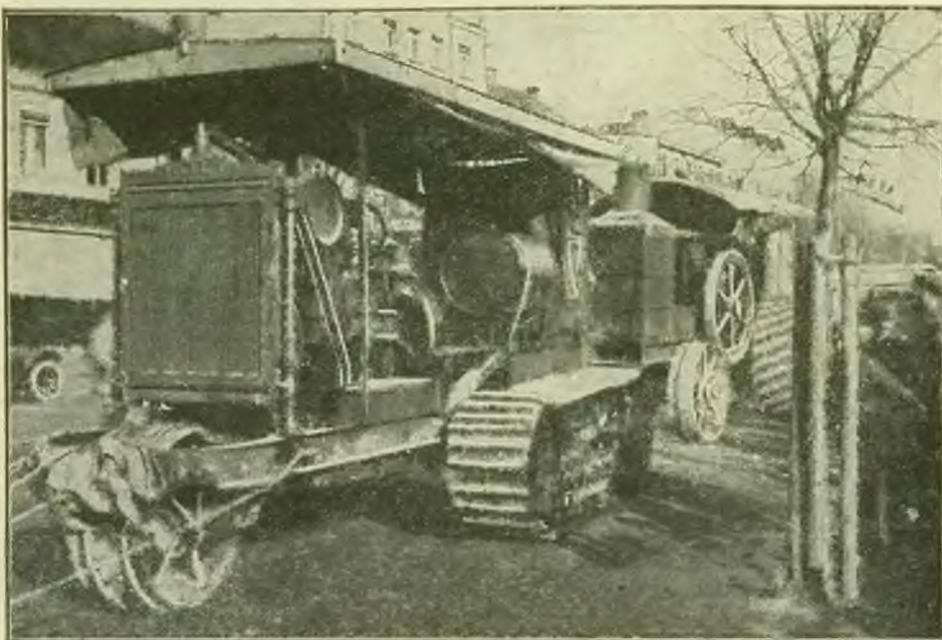
Na bruku warszawskim i niewarszawskim istnieje dziś tysiące inteligentnych nędzarzy znających język rosyjski, mających cenzus naukowy, którzy mogą i powinni być tym kontyngensem ludzi, z pośród których właśnie rząd powinienby sobie dokompletowywać potrzebę w ludziach.



Oddział angielskich żołnierzy-cyklistów strzelających w czasie potyczki z rowów strzeleckich — z rowerami na plecach.

Drobne wiadomości.

Jasło przed inwazją. (Wł.) Jasło szczytujące się, że leży nad trzema rzekami i ma zwałiska zamku „Golesz” przedstawiało przed wtargnięciem wroga niezwykły obraz. Ruch był nadzwyczajny. Przez miasto



Zdobytą lokomotywę polową rosyjską, używaną do ciągnięcia ciężkich dział.

przeciągały oddziały wojska, wozy prowiantowe, posuwały się w kierunku Dukli, legionści biwakowali też dłuższy czas, od czasu do czasu widać było unoszący się w przestworzu aeroplan, a na dworcu mnóstwo jeńców rosyjskich. W mieście bawiła znaczna ilość uchodźców ze wschodniej Galicji, którzy do Jasła przybyli.. nie na długo!

Zorganizowano też lekarską pomoc dla rannych. Szpitali urządzono 2, nadto funkcjonował jako „wojenny” szpital powszechny (kierownik Dr. Meth), na dworcu zaś urządzono „Verbandstättę” dla leżących rannych. Kierownikiem lazaretu był Dr. Hitzner, administratorem Adolf Zintl, komendantem zaś Żaluski. Funkcje lekarskie pełnili: Dr. Szczępański, Dr. Gabryszewski, Dr. Roth i Dr. Kadyi oraz medycy: S. Waydowicz, Krupa i Polakowski.

Ogromny ruch, niebываły pośpiech, zgiełk i zamieszanie sprawiały przykre nad wyraz wrażenie. Sprzyjała pogoda przynajmniej, ale szelest zeschniętych liści, którymi wiatr miotał, mącił ten jedyny odblask, tę reminiscencję spokojnych czasów, kiedy to było... lepiej.

Gdy w mieście zabrakło wreszcie jada, opuściła ludność Jasło przesiedlając się do Nowego Targu, względnie do innych miast w monarchii. (S. W.)

Pomnik Bismarka w Królestwie Polskim. Ostatni numer „Leipziger Illustr. Ztg.” przynosi reprodukcję pomnika

Bismarka, wystawionego w Koniecpolu pod Kaliszem ku uczczeniu 100-letniej rocznicy urodzin żelaznego kanclerza.

Pierwszy więc pomnik Bismarka w Królestwie Polskim już stanął. Znając gorącość niemieckich uczuć patriotycznych, możemy przypuszczać, że niedługo we wszystkich miastach Królestwa Polskiego pojawią się pomniki Bismarka, a na każdym rozdrożu stanie granitowa „Bismarckturm”.

Ponury obraz o położeniu inteligencji lwowskiej kreśli „Słowo Polskie”:

„Jakaś nauczycielka muzyki z patentem konserwatorium ogłasza, że udziela lekcji fortepianu po 40 groszy na godzinę, a jednocześnie pracznica żąda 50 groszy za wypranie nocnej koszuli, a szewc trzy kor. za poprawienie obcasów, bo teraz mydło i skóra zdrożały”. Gimnazysta z 6 klasy jest ogromnie rad, bo zawarł umowę z pewną wdową po wysokim urzędniku austriackim, która teraz handluje cukrem, ponieważ obiecała mu dwa grosze za odniesienie każdego kilogramu cukru, a jednocześnie dwu rębaczcy zażądało dziewięciu koron za porąbanie takiej ilości drzewa, którą ten sam student, przy pomocy swego kolegi, dokonał w przeciągu nie całych dwóch godzin. Prócz ludzi, naprawdę zamożnych,

nikt prawie nie jeździ dziś pierwszą klasą tramwaju, a jednak wczoraj widziałem była służącą moich znajomych, ubraną jak margrabinę, której, gdy z wyładowanego rublami pugilaresu wysunęła się srebrna moneta... „nie warto szukać, niech se pan to weźmie”, rzekła do konduktora. Z jakąż to pogardą spoglądała ta dama na inną znajomą, co to mając do niedawna aż nadto dostateczną płacę — od czterech miesięcy



Pomnik Bismarka w Koniecpolu (pod Kaliszem).

szyje po dwanaście godzin dziennie — rada, że może zarobić na byle jakie utrzymanie.

Wdowa po radcy dworu wpadła na pomysł fabrykowania „Jogurtu“, czego się nauczyła bawiąc ongiś w Meranie, a oprócz tego wypieka herbatniki, aby w ten sposób zarobić rubla dziennie i odnosi to sama do drugiej takiej samej radczyni, której mąż na wojnie, aby ta, znając się, od szóstej rana do dziewiątej wieczór, w swoim lokalu w hotelu Krakowskim, mogła zarobić na życie swoje i dzieci. A ten legion urzędników, sprzedających drzewo, węgiel i artykuły spożywcze, studentów, którzy te towary rozwozą, te panie wszystkie ze „Sztuki“, „Kola“ tanich kuchni i innych herbarciarni, pracujące tak ciężko, a z taką godnością, tem większego warte szacunku i tem bardziej odbijają w porównaniu z temi „najbiedniejszemi“, co to niedawno żyły z rabunku magazynów kolejowych, kradzieży drzewa z lasów miejskich, kartofli ze wsi okolicznych, a teraz ze źle stosowanej dobroczynności publicznej.



Bardzo łatwy do zbudowania periskop,
który może oddać wielkie usługi w rowach strzeleckich a składa się jedynie za zwyczajnej lornetki polowej, dwóch luster oraz skrzynki drewnianej.

parę wyrazów polskich, zaczął się z powodu polskiej rozmowy oburzać i takim „mądrym“ naszych chłopców poczęstował zwrotem: „Polnische Schweine! Sie trinken „herbata“ ohne Zucker!“ Skarciłem go za tę niego-

dziwą napaść, a wystąpienie me znalazło przyjazny odgłos wśród innych pasażerów-Wiedeńców. Jeden z nich napiętnował „bohaterski“ czyn swego rodaka słowy: „Es ist eine Schufferei, solche Kinder anzugreifen“. „Bohater“ wyniósł się jak niepyszny.

Von der Goltz i Pau jednocześnie w Ruszczuku. Pisma petersburskie donoszą, że marszałek von der Goltz i generał francuski Pau o mało co nie spotkali się twarz w twarz na pogranicznej stacji bułgarskiej w Ruszczuku. Przypadkowoprzybyli obaj dostojnicy wojsk. jednocześnie na stację i władze kolejowe zęcnie do spotkania ich nie dopuściły, — przepuszczając gen. Pau do wagonu jednemi, a v. d. Goltza drugimi drzwiami.



Z walk w Karpatach.

Placówka obserwacyjna oficerska w koszulach śniegowych na skraju górskiej wioski w zaspach śnieżnych.

(16) **Męczennica.**

(Powieść oryginalna).

— Chcę, chcę i do tego nawet z czasem przyjdzie.

Ano widzi pan że mnie nie omyliły przeczucia. Ja sobie wyobrażałam. Wszystko się spełnia, czego człowiek gorąco zapagnie, a Boga poprosi o pomoc. Za moje szczęście będę Bogu bardzo dziękowała.

Artur tulił Maryę do siebie, a ona oparła głowę na jego ramieniu.

I tak tonęli w uścisku, Marya z uczuciem wpływającym z serca jak fale wzdętego strumienia, Artur rozumiejący swoje położenie i niepewny, co myśleć o słowach zwierającej się z dziecinną szczerczą kochanki.

Była to scena, która oryginalnością swoją mogłaby wzbudzić ciekawość w najobojętniejszym człowieku, a malarz, gdyby młodą parę przelał wiernie w tej chwili na płótno, stworzyłby obraz jaśniejący charakterystycznym ugrupowaniem i wyrazem postaci.

Artur nie zapomniał o tem, że patrzy na niego z za krzaka Achilles, zdało mu się między innymi w tej chwili, że jest aktorem grającym dramat przed oczyma widza, więc gdy milczała Marya, przyklękawszy na jednym kolanie przemówił do niej w te słowa:

— Maryo, kochanko moja! dla czego milczysz, dlaczego zacięła muzyka słów twoich?

— Ach! nigdybym nie zdołała wypowiedzieć co czuję! Może ja źle robię, może grzeszę zdaniem się zupełnem na głos serca, ale myślę, że mi Bóg moja winę przebaczy.

— Nie czynisz nic złego, słuchając głosu serca! gdybyś tem grzeszyła, Bóg by ci przebaczył. Z ziemskich potęg, żadna nie śmie ci czynić za twoją miłość wyrzutów, bo ja odtąd będę zawsze przy tobie, ja twój kochanek, Artur, twój obrońca!

— Jestem spokojna, wiem żebyś mi pan zrobić nie dał krzywdy! ja w pana wierzę jak w Boga!

Burza się wzmagała. Niebo było coraz ciemniejszą i silniejszy wiał wiatr; coraz częstsze błyskawice rozdzierały całuny obłoków i deszcz poczynął spadać gęstemi kroplami na ziemię.

— Ufaj mi Maryo — wykrzyknął Artur z patosem — ja wiary twojej nie zawiodę nigdy! Do ostatniej chwili życia kochać cię będę, a zapamiętaj miłości nie ostygnie! Przysięgam! a to chmurami obleczone niebo jest świadkiem mojej przysięgi!

— I ja nim jestem toż samo i kto chce w każdym wypadku może się na mnie powołać — powiedział Achilles swobodnie, a zwracając się z grzecznym ukłonem do Maryi, przywitał ją kilkoma słowami.

Marya osłupiała i głos zamarł jej w gardle.

Achilles postawił kołnierz surduta, by ochronić szyję od zaciekającego deszczu, pociął rękę na ramieniu Artura i powiedział w tonie wyrzutu:

— Hrabio, deszcz pada i doczekamy się wielkiej ulewy. Zgodziłbym się na burzę, ale nie na przemoknięcie, zziąblem i wstanę jutro z łóżka z doskonałym katarrem. I tobiebym nie radził wystawać na szwank niepotrzebnie zdrowia, które do czegoś lepszego może się przydać na świecie. Jesteś nieogłębny, gdy pozwalasz tej pani moczyć się na deszczu i rujnować sobie suknie.

— Jestem oszukana, zdradzona! — wykrzyknęła rozpaczliwie Marya, gdy odzyskała przytomność. Zalała ręce i oczy podniosła ku niebu, potem się od-

wróciła od tego, w którego miłość wierzyła chwi kilka i poczęła szybko uciekać.

— Stój, stój, wstrzymaj się: — wołał Artur i biegł usiłując uciekającą dopędzić. Już był o kilka kroków przy niej, już ją doganiał i ręką dotykał prawie jej sukni, w tem jasna błyskawica rozdarła niebo, huk się rozległ jakby tysiąca grzmiących strzałów i zatrząsł lasem i murami klasztoru, wywołując długo brzmiące echo.

Wylękły i zbladły Artur otworzywszy oczy, ujrzał u stóp swoich tlejący wierzchołek od pioruna strzaskanej sosny.

Maryi nie było.

Powrócił do czekającego Achillesa i wracali w milczeniu do domu. Achilles trząsł się od zimna; Artur spuszczał oczy do ziemi i czuł, jakby chłód w sercu.

Tym razem nie powiodła się wyprawa.

XV.

Hrabia Achilles powróciwszy, był zły, kopał psa, trącał służącego, pił herbatę i położył się do łóżka. Drugiego dnia przebudził się, jak przepowiedział, z katarrem.

Artur miał noc niespokojną; naprzód spać nie mógł, potem zasnąwszy widział uciekającą Maryą, słyszał bicie piorunów i łamanie się drzew strzaskanych, drżał, czuł trwogę w sercu i szumiąco mu w głowie. Gdy się przebudził był spocony, zmęczony i bardzo blady. Zdawało mu się, że chory i że zbliża się jego ostatnia godzina.

Tak źle nie było, jak sądził zaniepokojony chłopiec. Trzy dni wystarczyło na przywrócenie mu sił i zwykłej swobody umysłu. Również tyle czasu potrzebował Achilles do pozbycia się upartego kataru.

Nastąpiła scena widzenia się. Achilles śmiał się i klepał po ramieniu Artura.

Artur się krzywił i mówił zadąsany:

— Byłoby poszło dobrze, ale pan popsuleś wszystko. Nie mógł pan jeszcze z pół godziny spokojnie siedzieć? Wyszedłeś pan jak z pod ziemi, więc dziewczyna musiała się przestraszyć. Teraz przekonana jest, że żartowałem sobie, że ją oszukałem. No, no, już też przepadło, a wszystkiemu, winna pańska niecierpliwość.

— Więc czegoś ty chciałeś odemnie, kochanku? abym za krakiem pół godziny w ulewnym deszczu czekał! Gdybym był podobne głupstwo zrobił, miałbym dzisiaj kapitalną febrę.

— A ja miałbym dziewczynę!

— Nigdy w świecie! wszakże gadaliście z sobą prawie przez godzinę, a żadne z was nie powiedziało tego, co by należało do rzeczy. Tyś gadał o miłości, ona plotła głupstwa. Byłem jak na tureckim kazaniu. Zaczęłeś przysięgać, więc wystąpiłem na świadka. I czegoż chcesz więcej?

— Było choć w inny sposób się zjawić, nie tak niespodzianie. Byłbym był powiedział, że pan jest mój przyjaciel, żeśmy razem przyszli, możeby się nie była przestraszyła. Teraz na nic się zdały zachody, ambaras.

— Kto wie jeszcze, czy na nic?

— Jak to! pan masz jeszcze nadzieję?

— Tej ja nigdy nie tracę. Słuchajno Arturze, bądź u mnie jutro południową godziną.

— Dobrze, jeżeli tylko pozwolą.

— Nie jesteś dzieckiem. Już ci dziewiętnaście lat minęło, powinieś sobie wyrobić więcej wolności.

— Ja nad tem od kilku miesięcy pracuję i powoli do wszystkiego przyjdę. Dobrze, ja jutro będę u pana.

— Ale pamiętaj, z pewnością.

— Z pewnością mój panie!

Achilles miał swoje plany, o których na razie Arturowi nie mówił. Kazał do siebie przywołać Kukiewicz i gadał długo z nim sam na sam. Pisarczyk wychodząc z pokoju hrabiego miał tryumfującą minę, zadzierając głowę do góry i trzymał w kieszeniach ręce; czuł w nich zapewne pieniądze.

* * *

Wróćmy do Maryi.

Po wieczornej schadzce z Arturem, wleciała do swego pokoiku zmoczona, przestraszona i z rozpaczą w sercu. Rzuciła się nierozebrana na łóżko i przytuliła się do poduszki głowę, by przygłuszyć wrywające się z piersi jęki.

Przebiegała w myśli doznaną przygodę, czyniła sobie wyrzuty za lekkomyślność swoją i zdała się z rezygnacją na zarządzenie Opatrzności, karzącej winę.

Po tem ukłękła przy łóżku i modliła się gorąco i długo. Powstawszy, nie przestawała myśleć o młodzieńcu, który sobie zrobił z jej uczuć zabawkę; chciała mu złorzeczyć a przebaczała w duszy, chciała o nim zapomnieć, a myślała coraz więcej i z coraz większą miłością.

Przyszedł na nią czas ciężkiej próby, gdzie miłość wrywana z serca rozrastała się z wielkim uporem i mocą.

Już kilka dni minęło, a Marya nie znalazła straconego pokoju. Jednego poranku wybrała się z rozkazu ciotki do miasta.

Zaledwie odeszła kilkanaście kroków od domu, przybliżył się do niej z niskim ukłonem Kukiewicz. Poznała człowieka, który był przed kilkoma dniami listonoszem i chciała się wrócić.

— Jak honor kocham, jak mi moje życie miłe, tak mam coś ważnego do powiedzenia! — wołał, zastępując jej drogę, Kukiewicz.

— Ja nie chcę słuchać, niech mnie pan nie zatrzymuje.

— Na mnie się panna bez przyczyny gniewa. Ja przecież nikomu nic nie zrobiłem złego! Czyż ja może mam odpowiadać za drugich?

— Nie żądam tego. Chcę iść swoją drogą.

— Więc taka mnie wdzięczność spotyka za moje dobre serce, za przychyłność, której dałem dowody, za to że chciałem aby wszystko dobrze było.

— Nie czynię żadnych wyrzutów!

— Za to, że chciałem jak przyjaciel, jak ojciec dopomagać do szczęścia! o niewdzięczny świecie! wolałbym się był nie rodzić człowiekiem!

Maryą wzruszyły narzekania Kukiewicza, stała i już słuchała cierpliwie.

Kukiewicz widząc jakie sprawił wrażenie, wpadł w zapał, rozczulił się i mówił dalej:

— Widzę, że inaczej nie bywa na świecie. Człowiek uczciwy i sumienny nie znajduje wiary, za kręta idzie zawsze lekkomyślność ludzka. Mam ja serce, wiem co ludzkość znaczy i radbym zawsze poratować bliźniego, to też bliźni dobroć moją lekceważy i myśli sobie: albo mi to nie wolno sponiewierać pocziwca?

— Pan się uzalasz na mnie bez przyczyny, bo ja nie posądzam o żadne złe zamiary. Jeżeli się na kogo uskarżam, to sama na siebie, że dałam wiarę

niedobremu człowiekowi, który mnie wystawił niewinnie na wstyd i na hańbę. Ja jestem sierota, opuszczona, biedna nie miałam się do nikogo uciec po radę i szłam za głosem serca. To też mnie Bóg za lekkomyślność ukarał. A inaczej stać się nie mogło, jak się stało. On, pan bogaty, hrabia, czegożby chciał od biednej dziewczyny? Chciał zażartować i żartował, a mnie mało serce z żalu nie pękło, mało nie umarłam z wstydu. On sobie źle ze mną postąpił, on nie powinien był tego uczynić.

— Marya łkała i ręką zasłoniła oczy.

— Na co to się zdało płakać, na co! pocieszał pocziwiec udający z dobrym skutkiem wzruszenie. — Pfu, do kata! — odpowiedział potrząsając głową — mam taką niedobrą naturę, że nie mogę patrzeć na płaczącego bliźniego, więc nie płacz panna, bo i ja się rozplaczę. Zresztą nie ma się czego mazgać, bo dotąd nie stało się nic złego. A prawdę mówiąc, wpadłaś panna młodemu hrabiemu dobrze w oko, a jeżeli tylko o to chodzi, to ja sam mogę poświadczyć sumieniem, że on nie miał nic złego na myśli.

— Nie miał! przyprowadzić ze sobą drugiego człowieka, który stał za krzakiem i słuchał.

— Ba, a nic nie słyszał. Zresztą to jest jego dobry przyjaciel i musi wiedzieć o wszystkim. A potem co to komu szkodzi, jeżeli drugi podsłuchuje z za krzaka? Ja nie widzę w tem nic złego, tem bardziej, że ten drugi jest pan bardzo dobry, bogaty i hojny. Ho, ho! ja go znam nie od dzisiaj. Takiego pana trzeba szanować i mieć sobie za zaszczyt, jeżeli się z człowiekiem wdaje.

— Tem mnie nie przekonasz. Rozumię ja dobrze, że wszystko było na to, aby mnie poniżyć.

— Nieprawda.

— Tak było!

— Jeszcze raz powtarzam: nieprawda! Wpadłaś panna w oko młodemu hrabiemu i on pannę kocha. Wierz albo nie wierz, mnie to nic nie szkodzi. Tak było a nie inaczej, i to jest najszczerza prawda. Więcej już gadać nie będę. Kłaniam się panie!

— Nie odchodź pan, nie odchodź! mówisz, że on nie żartował ze mnie, że on mnie kocha?

— Ano mówię.

— Pannie, miej litość nademną, nie uwodź biednej dziewczyny!

— Tfu, czego panna jeszcze chcesz odemnie?

— Powiedz szczerze: czy on mnie kocha. Wdzięczna będę całe moje życie.

— Raz powiedziałem i niech to wystarczy, a że powiedziałem prawdę, zaraz mogę o tem przekonać: młody hrabia chce się jeszcze raz z panną widzieć i to zaraz jutro. Jeżeli panna przystaje, proszę odpowiedzieć.

Marya zamilkła za odpowiedzią w sercu i w myśli i nie mogła jej znaleźć.

Serce zwyciężyło, bo po chwili odpowiedziało cichym głosem:

— Pójdę!

XVI.

Nie zawsze trzeba słuchać głosu serca. Serce, osobliwie kobiety, jest słabe i częsło zawodzi.

Maryę serce zgubiło.

Poszła do Artura pod kościół Kamedułów i wróciła z promieniacem od szczęścia oczyma.

Kochanek mówił o miłości, dawał jej najśodsze imiona i powtarzał po tysiąc razy: kocham.

(D. c. n.)

Królewiec i Grunwald

opowiadanie historyczne

12) przez
Feliksa S...

— O jakim sądzie, o jakiej karze mówisz? — zapytał Schwelborn — i któż ma prawo sądzić i karać?

— Ten, kto ma siłę potemu — odrzekł Sonnenberg tonem posępnym. — I kiedy się zastanawiam nad waszą ślepotą, przychodzi mi na myśl wspomnienie z czasów już dawno minionych.

— Jakie?

— „I mistrz i komtur, i rycerz i gość upadną w boju, jak kłosa pod sierpem żniwiarza!”

— To przepowiednia gdańska — rzekł Salzbach; pamiętam ją, co do słowa — pamiętam początek i koniec. I mówiąc to, zamyślił się, ale po krótkim milczeniu odezwał się z dziwnym, jak na komtura krzyżackiego, spokojem:

— Smutna to byłaby rzecz, zaiste, gdyby się ta przepowiednia ziściła, jeżeliby jednakże tak wypadło, to cóż na to poradzić?

— Niech Bóg obroni Zakon od wszelkiej klęski! — odezwał się i Schwelborn z kolei. — Lecz jeżeli wielki mistrz ma zginąć, a przy nim zapewne i wielu komturów, to zdarzyć się może, iż jednego z nas trzech kapituła na jego miejsce obierze. Pamiętacie, jak sądzę, koniec przepowiedni? — „Wy trzech wyjdziecie z bitwy wolni, cali i nietknięci: choć żaden z was nie ujrzy świtu następnej doby”.

— Ale, czy wiecie — zapytał Sonnenberg — dla czego wyjść mamy cali i zdrowi z tej klęski?

— Dla tego — odrzekł Schwelborn — że nasze hułce nie będą rozbite, jak inne i że cofniemy się z bitwy z rozwiniętymi sztandarami w bojowym szyku.

— Nie ludź się tą nadzieją! — rzekł Sonnenberg — haniebna ucieczka ocali nam życie. Zapytaj Salzbacha, komu winien ocalenie nad Worskłą? Nogom swojego konia. Męstwo ożywia tylko prawe serca, a krew niewinna ciąży na naszym sumieniu. Zbrodnia królewiecka zabiła naszą słynną niegdyś odwagę i na sam widok mściwego Witolda, bladzi z przestachu, umkniemy z pola sławy, na którym inni rycerską śmierć znajdują!

XIII.

W przeddzień wiekopomnej bitwy stoczonej dnia 15. lipca 1410 roku, wojska polsko-litewskie i zakonne stanęły naprzeciw siebie, między Grunwaldem i Tannenbergiem, i jak tylko około wieczora porozbijano namioty, wielki książę Witold kazał zawezwać do siebie rycerza polskiego Długosza, rodzzonego ojca naszego słynnego dziejopisa.

Mężny wojownik, podówczas jeszcze w rozkwicie męskiego wieku, cały w stalowej zbroi, gdzieś tam kurzawą pochodu odkrytej, stanął wkrótce w namiocie i zatrzymawszy się o parę kroków przed potężnym władcą Litwy, zapytał z rycerską swobodą:

— Spieszę na wasze wezwanie, najjaśniejszy książę. Cóż mi rozkazać raczycie?

— Panie Długosz! — odrzekł Witold — widziałem was na polu bitwy: wiem czego po waszej waleczności spodziewać się można: żądam od was rycerskiej usługi.

Z temi słowy, wielki książę rzucił badawcze spojrzenie na wyniosłą postawę Długosza i po krótkiej chwili przemówił znowu:

— W obozie krzyżackim jest trzech komturów: Andrzej Sonnenberg, Markward Salzbach i Henryk Schwelborn. Czy znacie ich choć z twarzy, szlachetny rycerzu?

— Znam tylko dwóch, to jest Salzbacha i Henryka Schwelborn, o Sonnenbergu zaś tylko słyszałem — odpowiedział Długosz.

Wielki książę klasnął w dłonie i w tej-że chwili ukazała się nowa postać w namiocie.

— Oto jest rycerz żmujdzki Waldemar Birmund — rzekł książę Witold: — jeżeli przyjmiecie na siebie moje poruczenie, panie Długosz, to go oddam pod wasze rozkazy, wraz z jego stu dobranymi kopijnikami. On wam pokaże Sonnenberga w jutrzejszej bitwie.

Długosz, który znał księcia a jeszcze więcej o nim słyszał, wyłożył całą uwagę, iżby ani jednego z jego słów nie uronił.

— Oddziały tych trzech komturów — mówił dalej książę Witold — wynoszą razem 1.600 ludzi, po większej części wityngów, stać będą jeden przy drugim, iżby się wspierać nawzajem. Mimo to od samego początku bitwy będą one miały dużo do czynienia. Jeden z dowódców mojego wojska, ze swoimi smoleńskimi drużynami, będzie na nich nacierał: być może nawet, że mimo ich wyćwiczenia, zmusi ich do cofnięcia się. Czy rozumiecie mnie?

— Rozumiem, najjaśniejszy książę! Rozkażecie mi zapewne, iżbym z panem Birmundem i jego kopijnikami a oraz z tymi kilkudziesięciu żołnierzami, których mam pod sobą, poparł skutecznie owego dowódcę smoleńskiego?

— Nie, panie Długosz! Zapomnij o Smoleńszczanach, zapomnij nawet o krzyżackich wityngach i zwróć całą swoją uwagę na trzech komturów; staraj się ich wziąć do niewoli. Jesteś rycerzem pełnym odwagi i siły, masz wiele doświadczenia, zręczność, której ci nawet Krzyżacy mogli pozazdrościć. Od dnia rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich, w ciągu tych trzech tygodni, wziąłeś już do niewoli niejednego w utarczkach podjazdowych: jestem więc pewnym, że spełnienie mojego poruczenia przyjdzie ci łatwiej, niż każdemu innemu.

Długosz zamyślił się i po chwili odpowiedział:

— Mówiąc bez zamnieiania a szpetnej i niegodnej rycerza chępliwości, uważam, miłoścy i najjaśniejszy książę, iż łatwiej-by mi było owych trzech Krzyżaków położyć trupem na polu bitwy.

— Wierzę temu, szlachetny rycerzu! — odrzekł książę. — Ale nie o to mi idzie. Żaden z nich nie powinien ginąć w jutrzejszym boju, ani nawet w jakim bądź innym.

Długosz, mocno zdziwiony oświadczeniem księcia, nie pokazał jednak tego po sobie. Długosz był rycerzem ze straży królewskiej i jeździł nieraz w eskorcie poselskiej, więc umiał milczeć. Nienawidził wprawdzie Niemców i nie mógł pojąć dla czego wielki książę osłaniał swoją opieką tych trzech komturów; lecz nadto był doświadczonej, iżby roztrząsać tajemnice potężnych mocarzy.

Witold zalecał mu zapomnieć o całej bitwie i starać się jedynie o ujęcie tychże komturów: było to może niezgodne z jego rycerskim powołaniem, które mu przedewszystkiem bić się z nieprzyjaciółmi nakazywało; ale najlepszym sędzią jego obowiązków był hetman polski Zyndram z Maszkowic, który go sam do wielkiego księcia posłał. Cokolwiek bądź, Długosz namyślał się jeszcze nad odpowiedzią, kiedy Witold zapytał go znowu:

(Dok. nast.).

Legionista w niewoli.

Było to po bitwie pod Limanową.

Około godziny 2 po południu zaalarmowano stację w Limanowej piąty batalion pierwszego pułku legionów wieścią, że Rosyanie ukazują się na wzgórzach. W mig na sygnał trąbki obsadziliśmy jedno z pobliskich wzgórz z folwarkiem. Patrole i forpoczty doniosły, że mamy naprzeciw siebie dywizję kawalerii rosyjskiej. Po chwili wysłano nas na wywiad, gdyż zauważono wysuwającą się rosyjską kolumnę, rozsypującą się w tyraliery.

Tymczasem zapadła noc. Nagle usłyszeliśmy na prawym skrzydle okrzyki „Hurra!” Silny, niespodziewany atak rosyjski zmusił nasz batalion do cofnięcia się. Gdyśmy zbliżyli się do folwarku, zostaliśmy nagle zatrzymani przez rosyjską placówkę okrzykiem: „Postój! Kto idiot!” I nagle z odległości kilkunastu kroków ujrzelśmy rozsypujący się w tyraliery oddział rosyjski. Padliśmy na ziemię i otworzyliśmy ogień, gdyż już poprzednio postanowiliśmy solennie nie poddawać się. Daliśmy już kilka strzałów, gdy Moskale zdecydowali się strzelać. Jak się później przekonałem, nie mieli oni zamiaru do nas strzelać, przypuszczając, że w takich warunkach od razu się poddamy. Nie mogli żadną miarą uwierzyć, żebyśmy mogli zdobyć się na szaloną odwagę stawienia czoła tak przeważającej sile. Zaraz po pierwszych rosyjskich strzałach padł po naszej stronie Kazimierz Wilk z Krakowa, ciężkie zaś rany odnieśli: Jan Hołda z Krakowa i Bolesław Zydrón ze Lwowa. Mnie oparzyła kula powyżej ucha. Zanim się opatrzyłem po pierwszym oszostomieniu, uczułem chwytające mnie dwie silne ręce — i po chwili byłem już w niewoli.

Byli to spieszeni dragoni 17 pułku rosyjskiego. Wszystkich nas starannie opatrzono. Dwaj towarzysze nasi zmarli na drugi dzień, nas zaś oddano w opiekę właścicielce domu, w którym kwaterował ten oddział rosyjski.

Mnie po opatrzeniu rany zaprowadzono do rotmistrza, celem przesłuchania. Po drodze nie obeszło się bez licznych szturchańców i uderzeń, którymi mnie rączyli oburzeni oficerowie rosyjscy. Nocowałem razem z dragonami, a pilnowano nas tak niedbale, że zaraz pierwszej nocy mogłem wyjść z kwatery nad rzekę. Stałem tam dość długo i już wówczas zrodziła się w mojej głowie myśl ucieczki. Wykonać jej jednak nie mogłem, gdyż nad rzeką były rozstawione bardzo gęsto placówki i wedety.

Nazajutrz rozpoczęła się indagacja. Zaprowadzono mnie do naczelnika dywizji. Ten rozpoczął badanie od tego, że zapytał, co za dziwną czapkę mam na głowie? Była to zwykła maciejówka legionistów bez orzełka polskiego i z oberwanym daszkiem. Odpowiedziałem, że to letnia czapka. Rewizji nie obawiałem się, gdyż wojskową kartę legionów już wcześniej podarłem. Uchodziłem więc narazie za „Austryaka”.

Niebawem dostałem towarzysza niedoli w osobie legionisty z drugiej kompanii piątego batalionu. Na swoje nieszczęście nieborak ten przyznał się od razu

przed generałem, że jest legionistą i pochodzi z gubernii kieleckiej. Los jego był tem samem już przesądzony. Po dwóch dniach odstawiono nas do Nowego Sącza.

Specyjalną opieką cieszą się u Rosyan legionści polscy. — Gdy jakiś cywilny jegomość, Czech, z komitetu opiekującego się jeńcami czeskimi, dowiedział się, że jestem legionistą, przybiegł natychmiast do mnie i poprowadził mnie do generała.

W przedpokoju generała zastaliśmy jego adju-



Majtkowie wdrapują się na maszt okrętu wojennego.

W czasie potyczki wchodzą oni na gdrę wnętrzem pancernego masztu (rodzajem pustej rury stalowej). Widzimy go na rycinie w częściowym przekroju.

tanta oraz popa. Cywilny ów jegomość pocieszał mnie, że będzie się starał uratować mnie od s'ryczka, ale że zsyłka na Sybir mnie nie minie. Pop, któremu przedstawiłem się jako gimnazjalista z piątej klasy z Tarnowa, pocieszał mnie również i czynił nadzieję, że mógłbym za jego protekcją dostać się do seminarium duchownego w Rosyi, gdybym przyjął prawosławie.

Wśród takiej, skraczającej czas „pogawędki”, generał skończył obiad i rozpoczęły się audyencye.

Przyprowadzony przed marsowe oblicze rosyjskiego dostojnika, któremu adjutant wytlómaczył moją sprawę, generał rozpoczął ze mną rozmowę. Zaczął od tego, że zapytał mnie, czy wiem, jaki jest ukaz cara, dotyczący postępowania z legionistami?



Z walk w Karpalach

Naprawa uszkodzonych dział w jednym z miasteczek węgierskich.

Odpowiedziałem, że nie wiem.

— No, to ja ci powiem — rzekł generał. — Mamy „prikaz” wieszać lub rozstrzeliwać.

Po chwili zapytał:

— A obiad ty jadł?

Na zaprzeczającą moją odpowiedź, skinął na ordynansa i kazał mi podać obiad „smaczny”.

W mig postawiono obiad na bocznym stolyczku, a ja zabrałem się doń z łęgim apetytem.

Generał, przypatrując się, zrobił uwagę:

— A co? Rosyanie nie tacy straszni — ha? A obiad smakuje, smakuje? No „uwidim”, co z tobą zrobić, malczyszka.

Wyszedłem. Cywilny jegomość, oczekujący w przedpokoju, zanotował sobie moje nazwisko, obiecując, że będzie się starał mi pomódz. Zapewnił mnie, że on dużo może wskórać a generała, który zresztą jest dobrym człowiekiem, litującym się nad „polską, głupią austrofiłską orientacją”.

Przeszedziałem w Nowym Sączu ośm dni, poczem odtransportowano nas do Okocima, gdzie była główna siedziba armii rosyjskiej.

Tu rozpoczęło z nami śledztwo bardziej szczegółowe, połączone z indagacją, co do oddziałów, w jakich służyliśmy, ich sił, nazwisk komendantów i t. d.

Rozpoczęto od nas, dwóch legionistów. Mój towarzysz przyznał się od razu, że jest legionistą. Ja wymieniłem początkowo pułk austriacki, obok którego walczyliśmy w dywizji. — Kłamstwo się jednak nie udało. Gdy na dowód prawdy zeznań moich zażądano odemnie tabliczki tożsamości t. j. „Totenschein”, który każdy żołnierz ma zaszyty w mundurze, musiałem przyznać się, że jestem legionistą.

Jęńców austriackich przetransportowano od razu dalej, a nas dwóch legionistów i Czecha, który zabił oficera rosyjskiego, wezwano do przesłuchania.

Przesłuchiowano nas tym razem każdego z osobna. Najpierw czynił to agent policyjny, następnie komendant żandarmerji polowej.

— A do jakiej partyi należą wasze „Sokoły buntowszczyki”?

Odpowiedziałem, że wszystkie organizacje po

wybuchu wojny zwały się w jedną. Twierdził, że zna naszego komendanta Piłsudskiego i pokazywał mi bardzo udatnie jego gesta i ruchy.

Komendant żandarmerji polowej przesłuchiwał nas w tonie surowym i gniewnym.

Po zapisaniu dat głównych i nazwiska odezwał się złośliwie:

— I tyś dzieciaku krzyczał: „za Moskalami marsz, marsz, marsz — od Warszawy aż do Petersburga”! Ha! Ha! Ha!

Mój towarzysz legionista tego samego dnia jeszcze został wraz z żołnierzem Czechem rozstrzelany.

Perspektywa przejechania się bezpłatnie na Syberję nie bardzo mi się uśmiechała, dlatego od pierwszych chwil niewoli kielkowala we mnie myśl o ucieczce.

Po kilku dniach dostałem wskutek prośby wniesionej do generała przepustkę do Tarnowa, celem odwiedzenia moich rodziców.

Na drugi dzień pomaszzerowałem wraz z oddziałem etapowym do Tarnowa. W Tarnowie skorzystałem z przepustki i wyszedłem z żołnierzem na miasto.

Zdarzyło się szczęśliwie, że przechodząc Strusinę, spotkałem jednego z kolegów i zdołałem z nim zamienić kilka słów, prosząc go o pomoc szybką, gdyż tego samego dnia mieliśmy wymaszerować do Dębicy.

Zacny kolega chciał czekać przed koszarami i przynieść z sobą cywilne ubranie. Stosownie do zapowiedzi, wymaszerowaliśmy istotnie o godzinie 4. — Gromadę, złożoną z 70 jeńców, eskortowało 7 kozaków. Chorych wsadzono na wóz. W odległości 300—400 kroków za nami postępował mój kolega z zawiniątkiem pod pachą.

W jednym miejscu zatrzymaliśmy się, gdyż konie nie mogli wyciągnąć pod górkę wozu z rannymi. Korzystając z chwilowego odpoczynku, żołnierze i jeńcy posiadali w rowach przydrożnych, a kozacy zajęli się spędzaniem i znoszeniem chorych z wozów. Z tej chwili skorzystałem i odbiegając trochę w stronę mego kolegi, zanurzyłem się niedostrzeżony w przydrożnym lasku. Tam szybko przebrałem się w cywilne ubranie i niebawem znalazłem się z powrotem w Tarnowie.



Po lewej stronie: Komendant 6 pułku obrony k. ajowej, pułkownik Trautweiler ze swym najmłodszym 14¹/₂ letnim plutonowym. — Po prawej stronie: Transport jeńców rosyjskich w Sadogórze na Bukowinie.

I zdarzyło się szczęśliwie, że były to ostatnie dni gościny Rosyan w Tarnowie. Widziałem, że wycofywano tabory, zwinięto oddział lotniczy, w koszarach zaś panował ruch gorączkowy. Wobec tego zaświtała mi nadzieja przedostania się na drugą stronę Dunajca. Udałem się na t. zw. Burek tarnowski, plac, gdzie przystają chłopci z za Dunajca, mający pozwolenie na przejazd przez most.

Porozumienie nastąpiło szybko. Na moście chłop wylegitymował mnie jako swego syna. Na noclegu w Wierchosławicach przedstawiłem się strażom rosyjskiem za forszpana, wziętego przez Rosyan do służby polowej, któremu po drodze padły konie i który wraca obecnie do domu. Na drugą noc zaszedłem do Dębna, gdzie około godz. 3 w nocy byłem świadkiem odwrotu Rosyan po alarmie. W południe przeszły przez Dębno jeszcze ostatnie straże rosyjskie, a niebawem potem ukazały się patrole austriackie i niemieckie, których pierwszą czynnością było wzdobywać gęsto poukrywanych w chałupach jeńców.

W dwa dni później znalazłem się w moim oddziale pośród ukochanych towarzyszy broni. (N. Ref.).

Krwawe dzieje jednej nocy.

(Opowiadanie komendanta).

Było to niedawno w L...

Jesienna ponura noc. Ciemność, że o'to wykol.

Za nami szumi las, jednostajnie, grobowo. Siedzę wraz z kapralem na starym, rozrostłym dębie na skraju lasu i obserwujemy w dali światełka sygnałowe nieprzyjaciela.

Piechota nasza, bokiem do nas zwrócona, zakopana w rowy strzeleckie, spoczywa po dwudniowym „gotowaniu ziemniaków“ (tak w języku żołnierskim nazywa się gorączkowa strzelanina z karabinów). Po pod naszym dębem ciągnie się długi, szary pas (widzialny w dzień) i n knie hen w dali, gdzieś w pozycjach nieprzyjaciela: to droga, o którą już drugi dzień trwała „wrzawa“, aż nad wieczorem drogę zdobyli nasi szturmem. Nieprzyjaciel cofnął się i tam w dali, za zakrętem drogi znów się okopał. Na wzgórzach ustawił trzy baterie armat i czeka.

Jesienna ponura noc.

Z dali od naszej piechoty dochodzi śpiew. — Slucham. Kaprał coś mówi, przeszkadza.

— Cicho! — chcę słuchać. — To Polacy śpiewają, pbnaję... Znam tę pieśń:

Twierdzą nam będzie każdy próg...

Tak nam dopomóż Bóg,

Tak nam dopomóż Bóg!...

Miarowy, przytlumiony nieco refren pieśni, słychać wyraźnie.

Zamyśliłem się. Pieśń działa i trudno oprzeć się pewnym myślom. Setki, tysiące żołnierzy, zdala od swoich i od matek, żon, siostr i kochanek śpiewa wśród ciemnej, ponurej nocy pieśń wielką, połączną, powstałą wśród huku dział i świstu kul, pieśń ufną i bożą. Las wtóruje głucho swym szumem, Pieśń przycicha przez chwilę i znów bieży w dal stłumionym echem.

— Csst... Ktoś jedzie, panie komendancie — przerwał mi zadumę kaprał. Słychać tętent w lesie.

Nateżam słuch.

— To nasz patrol zapewne.

Nie pomyliłem się. Niebawem przejechało bowiem siedmiu naszych ułanów koło dębu i zniknęło w mroku nocy. Pojechali na zwiady.

Nagle po kilku sekundach przedarł ciemności słup światła rzucony z pozycji nieprzyjacielskich. To reflektor. W nieznaney odległości od nas zobaczyliśmy naszych siedmiu ułanów w blasku światła. Konie zadarły, spięty się na zadach, zawróciły gwałtownie i lotem strzały popędziły z powrotem. Z rowów nieprzyjacielskich padło kilka strzałów i znów cicho.

— Panie komendancie! Tam, ot tam — na prawo...

Dają sygnały...

Istotnie! Nie pomylił się uważny kaprał. Sygnalizują. Patrę i liczę ilość błysnień: . . a—d—i—t—e—s—

— Co może oznaczać sygnał. — Brak początkowych liter. Aha mam. To zapewne: „Staditeś“, gotujcie się. W tej samej chwili sięgam po telefon, aby naszym zakomunikować ten rozkaz, gdy wtem na wzgórzach błysło raz po raz. Głuchy huk rozdarł powietrze i kilka szrapneli jak piekielne rakiety przeleciało nad naszą piechotą. Huk wzmógł się, spotężniał. Dałem rozkaz i ciężkie nasze baterie odpowiedziały potężnym gło-

sem. Zaczęła się robota. Pierwszy nasz strzał padł na wzgórze, na których były pozycje wroga.

— Ogień skróć — telefonuję i znowu zadrżała ziemia.

— Trafione. Salwą pał! — I szedł grzmot po grzmocie. Ziemia zaczęła drżeć a powietrze jęczeć i wyć. Na granaty wróg odpowiedział granatami. Naprawdę jednak szukał naszych pozycji. Po 80 minutach nieprzyjaciół zaprzestał ognia, ale komendant nieprzyjacielskiej baterii nie dał za wygraną. Z pomroku nocy doszedł nas z rowów strzeleckich wroga warkot bębnow na znaną piosenkę „na bagnety!” Na pola lunął potop oślepiającego światła reflektorów nieprzyjacielskich. Szukają nas. Telefonuję:

— Nabij szrapnelem. Ogień skróć na 5000! Trafione! salwą pał!

Niektóre nasze działa, nabite widocznie jeszcze przed moim rozkazem, rzygnęły jeszcze granatami. Patrząc przed siebie i widzę: mrowie ludzi z najeżonymi bagnetami gna ku naszym okopom — skąd ozwało się nagle gorączkowe „gotowanie ziemniaków” przy wtórze grzechotu karabinów maszynowych. Niespodzianie za naszą piechotę huknęły nasze polne działa i zagasiły reflektory nieprzyjaciela. Nastąpił straszny moment — piekielny taniec śmierci...

Gdzieś daleko ozwał się donośny głos trąbki. Poznałem komendę konnicy:

— Naprzód! Marsz! Galop!

Zadudniała ziemia pod kopytami 6000 koni. To nasi ułani „malowane dzieci”, a dla Rosyan „czerwone djabły” skoczyli w bok nieprzyjacielowi z gromkim okrzykiem: „hura! bij! Ozwał się szczęk tysiąca szabel a w kilka sekund zmieszany krzyk: Jezus Marya!... Dopadli.

Nieprzyjaciół przerażony nagłym atakiem zachwiał się. Padło tylko kilka strażaków i ścichało w piekielnym chaosie. Rżenie koni, wrzask tysięcy ludzi i jęki zwały się w jedyny ryk, głos trwogi i grozy a nad nim górował szczęk szabel jak łomot żelaznych cepów.

Nasi zwyciężyli — a potem gnali przed sobą, tnąc na prawo i lewo — bagnet nie bagnet, głowa nie głowa. Pola zaległy trupami i rannymi a nasi rwali naprzód aż tam pod wzgórze. To prawe skrzydło.

W centrum zmagala się piechota z piechotą zacięcie, na śmierć, oko w oko, krew za krew. Kiedy niekiedy rozległ się gromki okrzyk „hura”. To nowe oddziały, widocznie z rezerwy szły w bój.

A tu niedaleko od dębu ozwały się już inne głosy, głośniejsze lub cichsze — i wołały przeciągle:

— Dobijcie!

Pomocy!

— Jezus, Marya!

— Ratunku!

— Sanitet! Tu, do mnie! Sanitet!

— Wody! Przez Boga! Wo -o—dy!

Tam w szalonym pędzie przeleciał koń. — I wpadł do lasu. Gdzie jeździć? Może to on wzywa pomocy.

Zaczęłam mówić „Anioł Pański” — „wieczne odpoczywanie za poległych”, gdy nagle uderzyła we mnie luna. Cała wieś tam u wzgórz stanęła w płomieniach. Krwawa luna zalała pola — pobojowisko: tu i tam daleko na lewym skrzydle w centrum kilka tysięcy ludzi zwartych w jeden kłęb walczy z śmiertelną odwagą i pogardą życia —

Jeszcze chwila i oto bój skończony. Nienawiść pierzcha. Ot tam ułani nasi prowadzą pod ręce ran-

nego Rosyanina, tu znowu żołdat przykłada manierkę do ust jednemu z naszych. Kilka koni jakby oszalałych rzuca się po pobojowisku, pędzi i tratuje. Inne stoją nieruchomo ze spuszczoneym łbem — u nóg ich pewno leżą jeźdźcy.

I znowu okrzyk: „hurra!” — tam w dali. To skrzydła dotarły wzgórze. Padły strzały. Kilka koni bez jeźdźców zawróciło. Rozległ się znowu szczęk. Dopadli.

Zwycięstwo zupełne.

Łuna przygasła. Pół krwawy mrok otoczył pola i ciemniał coraz bardziej, coraz więcej. Tu i owdzie zabłyśły na polach migotliwe światła latarek. To saniteci.

Z dali od oddziałów zwycięskich, obsadzających wzgórze, spłynęła pieśń łagodna, błagalna: „Pod Twoją obronę”...

Odpowiedzi Redakcyi.

F. Podb... w Przewozie. Zamieścić nie możemy.



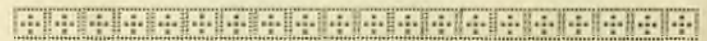
Każdy Legionista w polu walki

otrzyma bezpłatnie
przez jeden miesiąc

Ilustr. Przegląd Tygodniowy

Zgłoszenia:

Morawska-Ostrawa, ulica Johanny'ego 1. 5.



Inserować

należy tylko w tych pismach, które ze względu na ich wielki nakład, przynoszą korzystny rezultat. Jeżeli się inseruje

W ILUSTROWANYM PRZEGLĄDZIE TYGODNIOWYM

wychodzącym w 14.000 egz., ape-
luje się temsamem do największe-
go okręgu przemysłowego. Nie

potrzeba więc

ogłaszać w innych pismach i na-
rzucać się na niepotrzebne wy-
datki, gdyż pismo nasze stoi tak
pod względem nakładu, jakoteż
i wyposażenia na pierwszym
miejscu. Wystarczy zainserować

raz jeden tylko aby się przekonać o korzystnym rezultacie

i w przyszłości stale u nas inse-
rować. Numera próbne, oraz obli-
czenia załatwia się bezzwłocznie.